

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIĄTY

SAM

Dotarcie na pole, gdzie namierzył nas helikopter, tym razem zajęło nam zaledwie parę minut. Zobaczyłem zmasakrowane ciało Becka, z wnętrznościami na wierzchu.

– Sam... - szepnęła Grace, patrząc na mnie.

Jego ciało wyglądało na tak płaskie i cienkie, jakby nic w nim nie zostało. I może tak było. Może wszystko zostało zniszczone przez kule. Ale te wnętrzności, które musiał ciągnąć za sobą, zanim zmarł... Przypomniałem sobie ptaka, którego Shelby wybebeszyła i zabiła na naszym podjeździe.

– Sam...

Pysk miał częściowo otwarty, język leżał na zębach. Ale nie tak, jak wystawia jęzor dyszący pies, tylko w jakiś dziwny, nienaturalny sposób, pod kątem, który świadczył o tym, że ciało musiało być już sztywne. Zupełnie jak pies potrącony przez samochód. Po prostu kolejne zwłoki.

– Sam...

– ... powiedz...

ale jego oczy

– ... coś...

to miało jego oczy

– Sam...

a ja miałem mu jeszcze tyle do powiedzenia

– ... przerażasz mnie.

Wszystko będzie dobrze. Nic mi nie jest. Przecież podświadomie cały czas wiedziałem, że on umarł. Jest martwy. Że znajdziemy jego ciało w takim stanie, zmasakrowane. Że opuści mnie i już nigdy nie naprawimy tego, co zostało zniszczone między nami. Nie płakałem, bo tak właśnie miało być. On miał odejść. A w rzeczywistości utraciłem go już wcześniej, więc przecież nie ma różnicy. Odszedł absolutnie. Odszedł na zawsze. Nie ma już nadziei, że wiosna i ciepło sprowadzą go z powrotem do mnie.

Nie czułem niczego, bo nie było czego czuć. Miałem wrażenie, jakbym przeżył ten moment tysiące razy. Tak wiele razy, że nie miałem już energii ani emocji, żeby zareagować. Wypróbowywałem tę myśl w mojej głowie: „Beck nie żyje. Beck nie żyje. Beck nie żyje”. Czekałem na łzy, na uczucia, na cokolwiek.

Powietrze wokół nas pachniało wiosną, ale miałem wrażenie, że jest zima.

GRACE

Sam po prostu tam stał, trzęsąc się, z opuszczonymi rękami. W milczeniu wpatrywał się w ciało u naszych stóp. Straszny wyraz jego twarzy sprawił, że łzy zaczęły bezgłośnie płynąć mi po policzkach.

– Sam – błagałam. – Proszę.

– Nic mi nie jest – uciał.

A potem osunął się na ziemię i skulił, z rękoma zarzuconymi na głowę, i docisnął sobie twarz do kolan. Było to o tyle gorsze od płaczu, że nie wiedziałam, co robić.

Kucnęłam obok i objęłam go ramionami. Trząśł się i trząśł, ale łzy nie nadeszły.

– Grace – wyszeptał i w tym jednym słowie usłyszałam cały jego ból. Raz za razem przeczesywał włosy palcami, nieustannie zaciskając dłonie w pięści i rozluźniając je. – Grace, pomóż mi. Pomóż mi – powtarzał.

Ale ja nie wiedziałam, co robić.